

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 60 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 84 halerzy, za wiersz jednoszpaltowy nonpareillowy 1·20 kor

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. Kraków, 19 października 1918. Nr. 41.

Niepodległa i zjednoczona.

W dniu Zmartwychwstania.

Już od rana barwną szatę
Przywdział Kraków stary,
Powiewają narodowe
Barwy i sztandary.

Rozjaśniły się ulice,
Dziwnie rozjaśniły —
Uderzyły zgodnie serca
Wiarą w własne siły.

Na Wawelu — Zamek królów
Skroń podnosi chwacko
I spogląda miłościwie
Na wieżę Maryacką.

W blaskach wschodzącego słońca
Wieża się rumieni —
I tak patrzą się na siebie
Sobą zachwyceni.

Cały Kraków razem z nimi
Szczęściem dziś oddycha,
A kasztany Plant krakowskich
Szemrzą tylko z cicha.

A ich szum przesyła z echem
Brama Floryańska:
„Nam wolności nie wróciła
Łaska obco-pańska,

Nam Ojczyzny nie oddali
Świata wielemoże, —
Takie było przeznaczenie
I wyroki Boże!

Dziś spokojnie żyć możemy
Między braćmi swemi,
Nikt nam więcej nie zagrabi
Plonów naszej ziemi!

Dziś już nikt do obcej mowy
Nie przymusi dziecka,
Już nie zamknie chłopu drogi
Rogatka niemiecka!

Nikt nam dziś już nie zabroni
Myśleć, czuć po swojsku,
A gdy w wojsku służyć będziem
To już w polskiem wojsku!

A kiedy nam zginąć przyjdzie,
To zginiem bez lęku —
Sztandar Niepodległej Polski
Dzierżąc silnie w ręku!

K. Kr.



Powitanie Legionistów z Marmarosz Sziget: Uroczyste przyjęcie Legionistów we Lwowie.
(Fot. M. Münz, Lwów)

Niepodległa i zjednoczona.

„Monitor Polski" ogłosił dnia 7. października 1918 r. następujący manifest Rady regencyjnej:

Rada Regencyjna do Narodu Polskiego.

Wielka godzina, na którą cały naród polski czekał z upragnieniem, już wybija.

Zbliża się pokój a wraz z nim ziszczenie nigdy nieprzedawnionych dążeń narodu polskiego do zupełnej niepodległości.

W tej godzinie wola narodu polskiego jest jasna, stanowcza i jednomyślna.

Odczuwając tę wolę i na niej opierając to wezwanie, stajemy na podstawie ogólnych zasad pokojowych, głoszonych przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, a obecnie przyjętych przez świat cały jako podstawa do urządzenia nowego współżycia narodów.

W stosunku do Polski zasady te prowadzą do utworzenia niepodległego państwa, obejmującego wszystkie ziemie polskie z dostępem do morza, z polityczną i gospodarczą niezawisłością, jako też terytoryalną nienaruszalnością, co przez traktaty międzynarodowe zagwarantowanem będzie.

Aby ten program ziścić, musi naród polski stanąć jako mąż jeden i wytężyć wszystkie siły, by jego wola została zrozumiana i uznana przez świat cały.

W tym celu stanowimy:

1. Radę stanu rozwiązać.

2. Powołać zaraz rząd, złożony z przedstawicieli najszerszych warstw narodu i kierunków politycznych.

3. Włożyć na ten rząd obowiązek wypracowania wspólnie z przedstawicielami grup politycznych ustawy wyborczej do sejmu polskiego, opartej na szerokich zasadach demokratycznych i ustawę tę najpóźniej w ciągu



Niepodległa i zjednoczona: Regenci: Józef Ostrowski, ks. arcybiskup Kakowski i ks. Lubomirski.

miesiąca do zatwierdzenia i ogłoszenia Radzie regencyjnej przedstawić.

4. Sejm niezwłocznie potem zwołać i poddać jego postanowieniu dalsze urządzenie Władzy zwierzchniej państwowej, w której ręce Rada regencyjna zgodnie ze złożoną przysięgą władzę swoją ma złożyć.



Powitanie Legionistów z Marmarosz Sziget: Kapitan dr. Roman Górecki

Polacy! Obecnie już losy nasze w znacznej mierze w naszych spoczywają rękach. Okażmy się godnymi tych potężnych nadziei, które z górą przez wiek żywili wśród ucisku i niedoli ojcowie nasi. Niech zamilknie wszystko, co nas wzajemnie dzielić może, a niech zabrzmi jeden wielki głos: **Polska zjednoczona niepodległa.**

† Aleksander Kakowski. *Józef Ostrowski.* *Zdzisław Lubomirski.*

Prezydent ministrów: *Jan Kucharzewski.*

Warszawa, 7. października 1918.



Manifestacye w kraju: Tłum obywatelstwa krakowskiego zgromadzony pod ratuszem.
(Fot Pierzchalski, Kraków).

Powitanie Legionistów z Marmarosz Sziget.

W ubiegłą niedzielę witał Kraków w swych murach drogich gości: powracających z Marmarosz Sziget Legionistów. Oficyalne powitanie przybyłych Legionistów odbyło się w sali Rady miejskiej o godzinie 12 w południe. Na uroczystość, prócz radców miejskich, przybyło liczne grono obywatelstwa krakowskiego, oraz rodziny Legionistów. Przybyli także dość licznie dawni towarzysze broni więźniów z Marmarosz Sziget oraz grono pań, opiekujących się Legionistami.

Wchodzących na salę Legionistów w towarzystwie członków prezydyum miasta przywitano hucznemi oklaskami. Pośród ogorzałych, trudami więziennych niewygód zahartowanych twarzy, ujrzeliśmy znanych nam z dawna: kapelana ks. Panasia, majora Zagórskiego, kapitanów Goreckiego, Łapickiego, rotmistrzów Wilka i Okołowicza, porucznikow Ocetkiewicza, Zachorowskiego, Glinickiego,

Powitanie Legionistów z Marmarosz Sziget: Grupa Legionistów przybyłych do Krakowa W środku stoją ks. kapelan Panaś, major Zagórski i kap. Górecki.
(Fot. Pierzchalski, Kraków).

Łakocińskiego, Barzyłkowskiego; podporuczników dra Rutkego, Hommego i wielu innych, wreszcie grono podoficerów i żołnierzy. Goście zajęli miejsca na środkowych fotelach radzieckich. Obok nich zasiedli obrońcy, dr. Dwernicki, dr. Ostrowski, dr. Kwieciński i dr. Przeworski. Na trybunę wszedł prezydent Federowicz i powitał gości serdeczną przemową.

Następnie po przemowie prezesa komitetu wykonawczego N. K. N., p. Laskowskiego, zabrał głos, powitany hucznemi oklaskami, major Zagórski, który swe przemówienie zakończył następującemi słowy:

„Uwolniono nas w sam czas, kiedy państwu polskiemu potrzebną jest karna armia polska. Slubujemy, że spełnimy nasz obowiązek jako karni



Przyszły gabinet polski: Poseł dr Głąbiński

żołnierze, owiani najlepszą wolą, energią i zapałem. Czekamy tylko na chwilę, kiedy nas rząd polski wezwie do pracy, z którą się już nie rozstaniemy. Karność i dyscyplina — to głowny warunek każdej dobrej armii. Powstająca, zjednoczona Polska, oparta o karnego i wzorowego żołnierza niech żyje!"

Mowę tę, wygłoszoną z żołnierską swadą, przyjęto burzą oklasków i na tem zakończyła się oficyalna część powitania.

Na dole tymczasem przed magistratem zebrały się tłumy młodzieży i publiczności. Młodzież gimnazyalna utworzyła przed głównem wejściem szpaler. Legioniści po wspólnej fotografii na podwórzu magistratu, udali się na balkon pierwszego piętra, skąd do zebranych tłumów przemówił najpierw kapitan Górecki, a następnie red. Konczyński. Przemówienia ich przyjmowano owacyjnie. Odśpiewano



Przyszły gabinet polski: Poseł Trąmpczyński.

następnie „Jeszcze Polska nie zginęła". Gdy Legioniści przy dźwiękach orkiestry opuszczali gmach magistratu, młodzież obrzuciła ich kwiatami i wznosiła liczne okrzyki na ich cześć. Przedmiotem szczególniejszej owacyi byli ks. Panaś, kapitan Górecki i major Zagórski. Młodzież gimnazyalna i Legioniści wzięli na ramiena kap. Góreckiego i majora Zagórskiego i tak zanieśli w manifestacyjnym pochodzie do Grand Hotelu.



Niepodległa i zjednoczona: Jan Kucharzewski

Uroczystości powitalne w Krakowie zakończył raut w salach Grand Hotelu. Przybyłych Legionistów powitała imieniem pań komitetowych p. Habichtówna, poczem serdecznie przemówił kapitan Górecki. Omówił on historyę Żelaznej Brygady oraz wyjaśnił znany jej krok, za który odpowiadała w Marmarosz Sziget. Kapitan Górecki zakończył okrzykiem na cześć zjednoczonej Polski.

Raut przeciągnął się do późnej nocy. Sale Grand Hotelu okazały się za szczupłe, by pomieścić wszystkich gości.

Niemniej serdecznie powitano Legionistów we Lwowie. I tam, poza oficyalnemi przyjęciami, najszersze koła ludności dały serdeczny wyraz swych uczuć dla więźniów z Marmarosz Sziget.

Przyszły gabinet polski.

Szybki bieg wypadków w sprawie polskiej doprowadził do ustąpienia kierownika gabinetu warszawskiego, premiera Kucharzewskiego. Miał on z polecenia Rady regencyjnej utworzyć gabinet koalicyjny, w którym zasiadaliby przedstawiciele wszystkich ważniejszych stronnictw, w Radzie stanu



Przyszły gabinet polski: Komendant Piłsudski z swym adjutantem por. Długoszowskim, bawiącym obecnie przy brygadyerze Hallerze

reprezentowanych, wyłoniły się jednak takie trudności, że p. Kucharzewski musiał powierzoną mu misyę złożyć. Równocześnie prawie nastąpiło ogłoszenie historycznego aktu Rady regencyjnej, tworzącego zjednoczone państwo polskie. Wobec tego położenie zupełnie się zmieniło. Nowy gabinet polski nie może już być tworzony na tych podstawach, na jakich pracowały dotychczasowe gabinety.

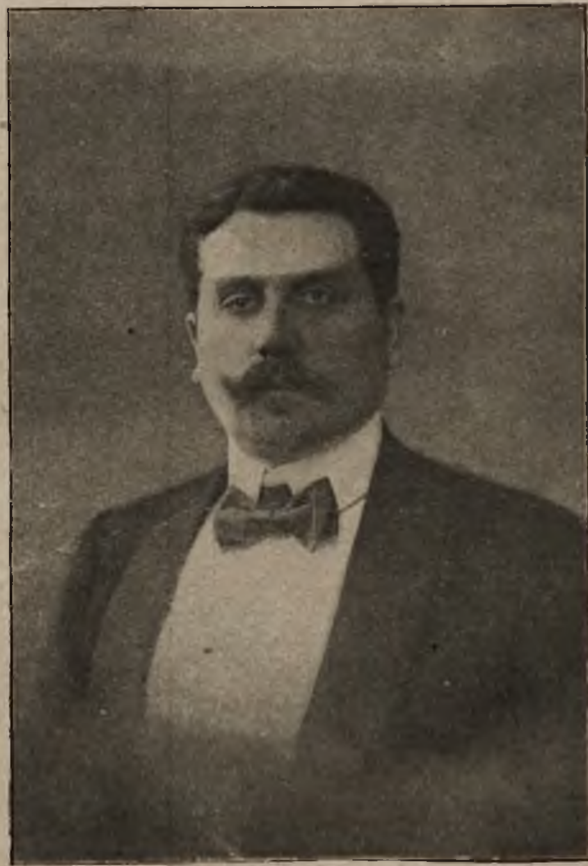
Wedle relacyi pism przyszły gabinet polski ma mieć następujący skład: przewodnictwo obejmie pan Swieżyński, zaś ministrami zostaną pp. Stecki, ks. Janusz Radziwiłł, Piłsudski, Meysztowicz jako przedstawiciel Litwy, Seyda i Trąmpczyński z Poznańskiego oraz dr. Głąbiński i Moraczewski z Galicyi.



Przyszły gabinet polski: Poseł Moraczewski.



Powitanie Legionistów z Marmarosz Sziget: Major Włodzimierz Ostoja Zagórski.



Przyszły gabinet polski: Prezes berlińskiego Koła Polskiego poseł Seyda.

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

13

— To też widzisz, Wandziu — kończył zwrócony do narzeczonej — choć pracuję z najwyższem wytężeniem, robota moja utyka na braku potrzebnego materyału. Właściwie kończę już, tylko muszę mieć jeszcze pewne uzupełnienia w obecnych warunkach poprostu nieosiągalne.

Wanda westchnęła lekko i posmutniała. Więc Kazimierz nie tak prędko jeszcze skończy swoją rozprawę. Ta zwłoka oddala ich znowu od celu, od terminu ślubu.

Odrzuciła wszakże zaraz egoistyczny, jak mniemała żal i z gorącem, tkliwem współczuciem spojrzała w szafirowe oczy pięknego kandydata na docenta.

— Nie zapracowuj się tak, Kaziu. Trzeba szanować siły i zdrowie na później. Może masz jutrzejszy wieczór wolny? — zagadnęła, bo przyszło jej na myśl, że on chętnie poszedłby z nią i z Rózią do teatru.

Rawicz potrząsnął przecząco głową.

— Gdzież tam. Ani chwili wolnej nie będzie — ruchem zmęczenia przesunął ręką po czole. — Mam ważne posiedzenie w Towarzystwie architektonicznem.

— Nie możesz opuścić?

— W żaden sposób.

Wanda nie nalegała, szanując tę jego obowiązkowość i zapał do pracy.

Rozmawiano jeszcze przez chwilę już o rzeczach bardziej potocznych. Wreszcie Kazimierz wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i spojrzał na wskazówki.

— Oho! Na mnie już czas.

— Już odchodzisz? Dlaczego tak wcześnie? Zostań jeszcze — prosiła Wanda.

— Niestety, nie mogę... Obiecałem Łabudowskiemu, wiesz, ten profesor archeolog, że przyjdę do niego punktualnie. Muszę się stawić co do minuty, bo to pedant... Jakbym się spóźnił, gotów mi nie udzielić wyjaśnień, o które mi chodzi.

Mówił spokojnie, naturalnie, lecz Rózia, która dopiero teraz znowu popatrzyła na niego, pochwyciła leciutkie nerwowe drgania powiek i kątów ust.

— On kłamie — upewniła się. — W jakim jednak celu Rawicz okłamuje tę szlachetną, ufną Wandzię, tego ani zrozumieć ani domyślić się nie mogła.

— Przemęczasz się — zauważyła troskliwie Wanda. — Nie chcę tak... — Zrobiła lekko zadąsaną minkę, która jej cudnej twarzy nadawała wdzięk kapryśny, porywający.

Kazimierz zapatrzył się w nią jak urzeczony i przez długą chwilę nie odpowiadał.

Potem wstał z krzesła.

— Trudno, trzeba pracować, żeby młodość nie poszła na marne. A ja nie jestem już taki bardzo młody — dodał melancholijnie.

— Mój ty staruszku! — zaśmiała się dziewczyna.

— Tak, tak... mów co chcesz, a czwarty krzyżyk na karku — znowu dyskretne spojrzenie wybiegło ku tafli zwierciadła.

Kazimiesz Rawicz miał skończonych lat trzydzieści, wyglądał jednak na młodszego ze swą delikatną twarzą starannie ogoloną. Na górnej wypukłej wardze czerniał przystrzyżony po angielsku wąsik.

— Ale ten Łabudowski to doprawdy mógł sobie wybrać inną godzinę!

— Gadajże ze starym pedantem... No, muszę iść. Pa! Wanduś... Dowidzenia, panno Różo.

Po odejściu Rawicza Rózia nie zabawiła już długo. Jakoś nie kleiła się teraz rozmowa przyjaciółkom, bo każda myślała o swojem.

Rózia, upewniwszy się więc, że Wanda pójdzie z nią do teatru, poczęła się żegnać.

Panna Borowicka odprowadziła ją do przedpokoju i już przy drzwiach rzekła:

— Ale! Wiesz kogom też spotkała dzisiaj? Pannę Julię. Pytała się o ciebie i narzekała, że o niej obie zapominamy.

Panna Julia była dawną nauczycielką obu dziewcząt. Lubiły ją bardzo i chętnie odwiedzały.

— Rzeczywiście, dawno u niej nie byłam. Może wybierzemy się razem?

— A dobrze. Przyjdź wcześniej przed tym teatrem na jakie dwie godziny, to pójdziemy. Właśnie będę miała jutro czas.

— Doskonale... Przychodzę... Dowidzenia, Wandko.

— Serwus.

Borowiccy mieszkali na jednej ze skromniejszych bocznych ulic, mało ruchliwej i skąpo oświetlonej. Rózia przeszła ją szybko i skręciła w przecznicę, na której więcej już było latarń.

Przed narożnym domem, na którym widniał duży szyld krawieckiej damskiej pracowni, stało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Młoda, drobnych kształtów dziewczyna w krótkim żakiecie, obszytym taniutkiem futerkiem i w czarnym filcowym kapelusiku na bujnych, jasnych włosach, ściskała jedną ręką, zabezpieczoną od zimna w włóczkową rękawiczkę, białe kartonowe pudełko. Drugą jej rękę, bez rękawiczki, trzymał w swej dłoni wysoki, elegancko ubrany mężczyzna. w którym Rózia odrazu poznała Kazimierza Rawicza.

Wyraźnie widziała zarysowujący się w bladym blasku latarni jego delikatny, piękny profil i świeżą, szczupłą twarz dziewczyny ze zgrabnym, lekko zadartym noskiem i ponętnymi dołeczkami w policzkach.

Rawicz nie dostrzegł Goldbaumówny, zajęty żywą rozmową z małą, zasłuchaną, zapatrzoną w niego szwaczką. To jest on mówił, a dziewczyna słuchała i podnosiła ku niemu oczy pełne uwielbienia i zachwytu.

Rózia w pierwszej chwili nie chciała wierzyć własnym oczom. Skoro jednak wierzyć musiała, wstrząsnął nią dreszcz oburzenia.

Więc nie omyliło jej przeczucie. Narzeczony Wandy kłamał istotnie! Snać nie tak bardzo spieszyło mu się do miłującego punktualność profesora. Ważne informacye naukowe mogły jednakowoż zaczekać.

Zaśmiałaby się, gdyby jej serca nie ścisnął żal nad przyjaciółką. Wandę okłamuje!... Taką Wandę!...

W bramie domu, przed którym stała młoda para, dały się słyszeć kroki. Rawicz szybko wypuścił rękę swej towarzyszki i oddalił się bez ukłonu, szepnąwszy kilka cichych słów, na które dziewczyna odpowiedziała rumieńcem, uśmiechem radosnym i skinieniem głowy.

Przez chwilę jeszcze spoglądała za nim, dopóki nie zniknął na zakręcie. On nie obejrzał się ani razu.

Rózia zaczęła iść w pewnem oddaleniu za Rawiczem. Zboczyła nawet z kierunku swej drogi, bo nie mogła oprzeć się chęci śledzenia kroków pięknego adepta nauki, zdradzającego najwidoczniej upodobanie do dróg, udeptanych ongiś przez nieśmiertelnego Don Jouana.

Grała w niej zarówno ciekawość kobieca, jak szczere współczucie dla przyjaciółki.

Kazimierz Rawicz, a za nim Rózia wydostali się na ulicę bardziej ruchliwą i szeroką, ujętą w dwa rzędy wysokich, nowych domów.

Rawicz zatrzymał się przed trzypiętrową kamienicą, spoglądającą w miasto szeregami okien i podniósł głowę w górę. Za jednem z okien pierwszego piętra rysowała się twarz kobieca, przyciśnięta do szyby.

Narzeczony Wandy Borowickiej dostrzegł snać tę twarz i poznał, bo zdjął czapkę i powiał nią w niskim ukłonie. Potem wszedł do bramy.

— Może ten profesor Łabudowski ma córkę lub młodą żonę? — pomyślała Rózia, która stanowczo przestała wierzyć w bezinteresowny zapał Rawicza do nauki i starych, czcigodnych profesorów. — A może on tu wcale nie mieszka?

Wahała się... Wejść także, czy nie wejść do bramy.

To szpiegowanie zawstydzało ją, ale ciekawość i chęć wyśledzenia prawdy były silniejsze.

Weszła i przebiegła szybko oczyma listę lokatorów. Żaden profesor Łabudowski nie mieszkał w tym domu. Natomiast całe pierwsze piętro zajmował Wincenty Burczykiewicz z rodziną.

Nazwisko Burczykiewicza nie było obcem Goldbaumównie. Słyszała je kilka razy od ojca. Wiedziała, że ojciec ma nawet jakieś wspólne z owym Burczykiewiczem interesy.

Pierwsze piętro... Ta główa kobieca za szybą... Ona, Rózia, tak samo czekała... tak samo wyglądała swego Tadka.

— Biedna! Biedna Wandzia!... — szepnęła sama do siebie, wychodząc na ulicę.

ROZDZIAŁ V.

Wieczysta kobiecość.

— A zatem, proszę, niech pani powtórzy, jakie są najważniejsze dzieła Jana Kochanowskiego?

— Najważniejsze dzieła Jana Kochanowskiego są: Obrona posłów greckich...

— Nie „Obrona" tylko „Odprawa"... No a dalej?

— Żywot człowieka...

— Ależ to nie Kochanowskiego, tylko Mikołaja Reja... Przecież dopiero niedawno była o tem mowa. Już pani zapomniała, panno Stefo?

Stefa Burczykiewiczówna gestem zniechęcenia odsunęła książkę, na której okładce widniał tytuł: „Historya literatury polskiej".

— Kiedy ja tego, proszę pani, nigdy nie spamiętam. I co mnie to wszystko obchodzi?!...

— Jakto? Co panią obchodzi? — panna Julia Ożarska ze zdziwieniem spojrzała na swoją dorosłą uczenicę.

— A ten tam jakiś Rej i Kochanowski, co żyli Bóg wie ile lat temu i ten cały hamanizm.

— Ależ nie hamanizm, tylko humanizm — poprawiła z odcieniem zniecierpliwienia nauczycielka.

— Hu-ma nizm... Mnie to do głowy nie wejdzie. Ja już za stara na to i prawdę powiedziawszy, tom nigdy bardzo dobrej głowy do nauki nie miała. W czwartej pospolitej trzy lata siedziałam — wyznała z naiwną otwartością Burczykiewiczówna.

Pannie Ożarskiej mignęła myśl, że może prawdopodobnie stracić tę dobrze płatną lekcyę. Odpowiedziała jednak spokojnie:

— Więc pocóż pani chce brać lekcye literatury?

Stefa w zakłopotaniu mięła krótkimi i grubymi, jak serdelki palcami jakąś kokardkę u swej strojnej, przeładowanej ozdobami bluzki.

— Bo, widzi pani, jabym tak chciała, żebym tak mogła mówić o książkach, o teatrze, o różnych takich mądrych rzeczach... Żebym rozumiała, jak do mnie ktoś bardzo kształcony powie coś takiego wyższego...

Była zmieszaną. Wstydziła się snać swego nieuctwa i nieudolności. I tak czerwona jej twarz stała się prawie burakową.

Niepotrzebnie potrząsała i kręciła głową, przyczem brylanty jej kolczyków skrzyły się snopami tęczowych świateł.

Julia z trudem stłumiła uśmiech i przez chwilę namyślała się co odpowiedzieć na to żądanie Burczykiewiczówny.

— Niechże pani zrozumie — zaczęła wreszcie tłomaczyć — że aby mówić o książkach, trzeba przynajmniej w krótkości wiedzieć, jacy to ludzie w różnych czasach i jakie książki pisali. Trzeba poznać choćby tylko w zarysie rozwój literatury. Do rozmów o książkach musi się mieć przecież jakieś podstawy. W przeciwnym razie to byłoby tak, jakby ktoś chciał czytać, nie znając abecadła.

Dziewczyna słuchała w milczeniu, z pochyloną głową, manipulując ciągle coś przy swej bluzce. Urwała już kokardkę i rozdarła w jednem miejscu delikatną koronkę żabotu.

— Ja wiem, że pani ma racyę — odszepnęła nieśmiało, z miną prawie pokorną — że tak trzeba robić, jak pani mówi. Cóż, kiedy ja nie mogę!... Nie zapamiętam!... Alebym przecież chciała choć coś tak wiedzieć, żeby... żeby.. No, pani jest taka mądra, to pani wie przecież, czegobym chciała... Moja pani droga, moja złocista, niech mnie pani już tego nauczy bez tych trudnych różności. Ja zapłacę, ile tylko pani zechce.

Nauczycielka wzruszyła ramionami.

— Kiedy ja doprawdy nie bardzo wiem, o co pani właściwie chodzi. O salonowe rozmowy, czy tak?

Stefa skinęła głową.

— I o te rozmowy w salonie to także. Ale jeszcze o co innego...

Ciemna fala krwi rozlała się na jej niskie, płaskie, do połowy przykryte grzywką czoło i na grubą klockowatą szyję. Nawet uszy pośród włosów sztywnych, słomianej barwy, bez połysku, zaczerwieniły się.

— No, o cóż takiego? — zapytała panna Ożarska, widząc, że Stefa miesza się coraz bardziej. — Niechże pani powie otwarcie, śmiało i wyraźnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Upadek Syryi.

Zwycięski pochód wojsk koalicyi w Palestynie przekroczył już jej granice i posunął się daleko na północ, niosąc zarzewie wojny w kraj dotychczas nią nietknięty, mianowicie w Syryę. Linia walki zatrzymała się na razie na wysokości dwu miast: Damaszku i Beirutu.

Doniosłość strategiczna tego punktu jest wielka, i najważniejszych miast państwa tureckiego, jako stolica Syryi i Sandżaku damasceńskiego. Damaszek leży na wyniosłej równinie el Gutah, na wschodnim stoku Antylibanonu, na krawędzi pustyni arabskiej. „Okiem Wschodu", „perłą raju", „znamieniem przyrody na policzku świata" zwała go z właściwą jej kwiecistością poezya oryentalna.

Damaszek liczył przed wojną około sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i posiadał tak znaczny handel, że ustępował pod tym względem jedynie stolicy padyszacha. Jako punkt zborny karawan, pozostawał w ożywionych stosunkach z Meką, Bagdadem i Aleppem. W kwitnącym stanie znajdował się również przemysł Damaszku.



Wywożenie rannych z zagrożonych odwrotem szpitali.



Od morza do Verdun: Pospieszne wywożenie magazynów żywnościowych niemieckich.

odpowiada zaś znaczeniu Beirutu, jako najważniejszego nadmorskiego miasta Syryi. Zajmując środek między miastami Saida (star. Sydon) i Tarabulus (star. Tyrus), prowadził Beirut przed wojną nadzwyczaj ożywiony handel. Jako zaś miasto z bardzo dogodnie leżącym, acz płytkim portem, oddawał Turcyi niemałe usługi podczas wojny. Połączony z Damaszkiem zapomocą kolei i traktu pocztowego, jest niejako jego portem.

Beirut był siedzibą tureckiego gubernatora, jak również konsulów mocarstw europejskich i ich urzędów pocztowych. Żadne z miast tureckich nie osiągnęło było w ostatnich czasach tak szybkiego rozwoju, jak Beirut. Liczba mieszkańców przed wojną dosięgała stu tysięcy. Wiadomo jak ważną rolę odegrało to miasto w wojnach krzyżowych Krzyżowcy postradali je w roku 1291, poczem przez długie czasy pozostawał w ręku Druzów. Pod panowanie Turcyi przeszedł dopiero w roku 1763.

Co do Damaszku, to należał on do największych

Damaszek należy do najstarszych miast świata, jako rówieśnik nieistniejących już dawno Niniwy, Babilonu, Memphis. W starożytności tworzył przez czas pewien odrębne państwo, potem przechodził kolejno niewolę babilońską, perską, macedońską, a z rąk Saleucydów dostał się Rzymianom. W roku 633 zdobył go Kalif Omar, z kolei zagarnęli go następnie Mongołowie pod Timurem. Z początku wieku XVI. dostał się pod panowanie cesarzy tureckich i pod panowaniem tem już pozostał do dni naszych, wyjąwszy kilkuletnią przerwę gdy należał wraz z całą Syryą do Egiptu. Zdobycie linii Beirut—Damaszek daje ofenzywie wojsk koalicyi korzystną podstawę operacyjną dla dalszej akcyi. Anglicy mają w swych rękach teraz całe wybrzeże palestyńskie i mają zakończenie linii kolejowej, która przez Baalbek prowadzi na północ w głąb Azyi Mniejszej.

Od morza do Verdun.

Wielkie zmagania się na zachodnim froncie zaczynają dochodzić do punktu kulminacyjnego. Niemcy zostali zmuszeni do odwrotu na całym froncie, od morza aż po Verdun. Linia Zygfryda, owa duma strategów niemieckich, przestała już istnieć, a wojska koalicyi walczą obecnie już daleko poza nią, docierając powoli lecz stale do granicy belgijskiej. Obraz nowego frontu jest bardzo fantastyczny. Przy morzu trzyma się jeszcze kawałek frontu na dawnych pozycyach, od Dixmuiden zaś aż po Lille front wygiął się wielkim łukiem ku wschodowi i grozi osaczeniem tej silnej fortecy. Dalej na południe linia Zygfryda została zupełnie przebita. Od Cambrai aż po La Fere nie istnieje ona już zupełnie. Dwa węzły jej najsilniejsze, Cambrai i St. Quentin, padły, a wojska koalicyi zbliżają się tutaj powoli ale stale ku granicy belgijskiej. Trzyma się jeszcze kawałek frontu koło Laon, ale i ten wnet będzie musiał się zwinąć, gdyż grozi mu oskrzydlenie od północy i wschodu. Od Reims aż na północ od Verdun front niemiecki cofa się powoli ale stale ku północy. — Jedynie nienaruszony dotąd stoi



Upadek Syryi: Wojska tureckie w odwrocie pod Damaszkiem

kawałek frontu niemieckiego w Alzacyi i Lotaryngii.

Z rozwoju wypadków okazuje się, że przesilenie wojny światowej nastąpiło w tym roku dnia 15 lipca. Dzień ten zaważył ostatecznie na szali wypadków i od niego rozpoczął się ostatni okres zmagań wojennych. Aby go należycie ocenić w przyczynach i skutkach, należy cofnąć się nieco myślą wstecz.

Przypomnijmy sobie mianowicie Amerykę z czasów jej neutralności. Była główną dostawczynią broni, surowców i środków żywności dzisiejszych swych aliantów. Gromadziła dla ich celów tonaż i popierała koalicyę finansowo. Tylko dzięki pomocy Ameryki zdołała koalicya przetrwać okrutne terminy, jakie przyszły na nią. Bez tej pomocy poszłaby była po dwu latach w rozsypkę. Rosya nawet u wstępu do drugiego roku znalazłaby się była bez wyjścia z braku amunicyi. Nie doszłoby było ani do Gorlic, ani do tak morderczej walki nad Sommą w r. 1916, a liczba bitew nad Isonzem musiałaby uledz redukcyi. Niemożliwą byłaby się też okazała bez pomocy Ameryki blokada, z pomocą której Anglia hermetycznie odcięła mocarstwa centralne od reszty świata.

Ale nawet przy tej pomocy „neutralnej“ Ameryki, groziła aliantom zachodnim niemal nieuchronna zagłada. Dopiero czynne jej wystąpienie w wojnie przy boku koalicyi przesunęło języczek u wagi wydarzeń wojennych na stronę Anglii, Francyi i ich sprzymierzeńców.

Do dnia 1 lipca b. r. zdołała Ameryka zasilić armie swych sojuszników zastępem 1,300.000 ludzi. Nieprzyjaciel dzięki temu nietylko materyalnie urósł w potęgę, lecz nadto doznał i moralnej zachęty do wytrwania. Śmiało twierdzić nawet można, że ten drugi moment okazał się ważniejszym. W walce bowiem bierze udział czynny nie więcej nad pół miliona Amerykanów; reszta rozmieszczona została w etapach, oddana przeważnie zadaniom służby technicznej.



Od morza do Verdun: Ulica Lamorville w odcinku St. Mihiel, zniszczona ogniem artyleryi francuskiej. (Lip. biur. pras.)

Był okres w roku bieżącym, gdy losy koalicyi powiedzieć można, wisiały na włosku. Były to miesiące: marzec, kwiecień, maj, nawet połowa czerwca. W tych miesiącach żyła ona, jak chomik, z nagromadzonych zapasów, wszystkie swe środki transportowe na wodzie oddawszy wyłącznie dla przewozu wojsk amerykańskich. I ów właśnie przewóz stał się potężną falą, która wywołała potop. Koalicya poświęciła pierwszą połowę roku b. zabiegom o zyskanie na czasie. Zatykała wyrwy, łatała wystrzępione części frontu, wygładzała nierówności, ani na chwilę nie odwracając stęsknionego spojrzenia od Atlantyku. Konwulsyjnie kurczył się front jej pod potężnemi uderzeniami niemieckiego młota, nie pękł jednakowoż. Kilkakrotne dłuższe, nieuniknione przerwy w operacyach niemieckich, dały nieprzyjacielowi możność zaczerpnięcia każdym razem powietrza na nowo, dzięki czemu zdołał też kryzys przetrwać. Tak na przykład pomiędzy niemiecką ofenzywą z końca maja, która przez Chemin des Dames zapędziła się aż nad Marnę, a następną upłynęło prawie sześć tygodni. I w tym to właśnie czasie dokonało się przeobrażenie armii nieprzyjacielskiej, która miała już w dostatecznej ilości nagromadzony materyał żywy i martwy.



(Fot. Bufa) **Od morza do Verdun:** Wycofywanie bateryi przenośnej z pozycyi.



Upadek Syryi: W obozie tureckim. (Woj. kw. pras.)

Dzięki niezmiernemu bogactwu środków koalicya znalazła się w tem położeniu, iż niezrównanej, tylu zwycięstwami poprzednio stwierdzonej dzielności Niemców, przeciwstawić mogła nieprzerwaną stateczność operacyi. Od 15 lipca po dziś dzień nie było ani dnia jednego bez wielkich ataków nieprzyjaciela na front niemiecki tak, iż jeśli ów front nie uległ zdruzgotaniu, cudem nazwać to można. A jednak, gdyby nie tanki, efekt zamierzony pozostałby w dziedzinie marzeń. One to, owe niesłychanie sprytnie obmyślane i straszliwe w swem działaniu maszyny, umożliwiły wojskom koalicyi w dzieranie się w pozycye niemieckie. I one jednak nie zdołały osiągnąć ostatecznego celu wysiłków nieprzyjacielskich, nie zdołały dokonać przerwania frontu. Alianci mają niewątpliwie przewagę, przeciwnika wszakże jeszcze nie zdołali złamać.



Od morza do Verdun: Opuszczone przez Niemców ruiny St Quentin (Fot. Bufa)

Fred. M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

5

— O! — szeptał do siebie, złośliwie się uśmiechając — Cóż to panienka ma do czynienia śród ciemnej nocy? Jeśli za kwadrans nie wróci, pójdę za nią. Moja dumna, wielkopańska siostrzenica schadzki sobie urządza, no, no!

Tymczasem Angela z bijącem sercem dotarła do pokoju, przylegającego do ogrodu. Za chwilę Denvers był przy niej. Na twarzy jego malował się niepokój i zmartwienie.

— Nie mogłem inaczej sobie poradzić, moja droga! — usprawiedliwiał się — Nie mogłem otwarcie przybyć do tego domu, a jest dla mnie rzeczą niezmiernie ważną coś tutaj zbadać. Och, gdybym mógł ci wszystko opowiedzieć!

— Chociaż mi nic nie powiesz — odparła żywo Angela — to i tak ci ufam bezgranicznie.

— Pięknie to z twej strony, ukochana moja! — szepnął — To co robię, nie jest ładne, ale nie mogłem innej drogi znaleźć. Czy pokazałaś panu Frobisherowi kwiaty, jakie wczoraj odemnie dostałaś?

— Nie, nie miałam sposobności to uczynić, jutro rano jednak to zrobię. Schowałam gałązkę w cieplarni, a niedługo potem miała miejsce ta straszna historya. Ach, ty przecież nic nie wiesz

— Owszem, wiem. Sedzia dr. Jessop, który dziś był gościem u Frobishera, przyszedł potem do klubu i opowiadał o zajściu. Ten, który śmierć tu znalazł, był sekretarzem hrabiego Lefroy, Manfred, nieprawdaż?

Angela skinęła głową.

— Nie rozumiem tego wszystkiego! — dodała — Kiedy zanosiłam kwiaty do oranżeryi, spostrzegłam skradającego się mężczyznę, który tam przecież nic nie miał do szukania. Poszłam za nim, nagle jednak znikł mi z przed oczu, a przecież oranżerya nie ma żadnego wyjścia. Nieco później, właśnie się położyłam, usłyszałam hałas, a z tego, co dosłyszałam, domyślam się, że człowiek, którego uduszono, jest właśnie tym, którego przed chwilą widziałam. Czy umiesz wytłómaczyć sobie to dziwne, tajemnicze zajście?

Denvers wstrząsnął głową.

— Teraz jeszcze nie; tyle tylko mogę ci dziś powiedzieć, że dramat ten ma związek z purpurową orchideą

— Z tym kwiatem cudnym, który mi podarowałeś?

— Tak. Musisz mi zresztą tę gałązkę zwrócić i nic o tem panu Frobisherowi nie wspominać. Czy zaprowadzisz mnie do oranżeryi? Chciałbym ją zobaczyć.

— Czy sądzisz, że znajdziesz tam klucz do rozwiązania tajemnicy?

— Może być! — przyznał Denvers — Posiadałem bowiem szkarłatną orchideę, którą dałem do przechowania pewnemu ogrodnikowi, aby ją potem użyć przy ważnych pertraktacyach z księciem Kurdistanu. Z gazet dowiedziałem się, że orchidea moja została skradziona i że przytem jakiś człowiek postradał życie. Więcej jeszcze wiem, że roślina ta znajduje się teraz w rękach pana Frobishera i że Manfred zginął w chwili, gdy chciał ukraść ją dla kogoś innego.

Angela słuchała, jakby zahypnotyzowana. Wzdrygnąwszy się rzekła:

— Miejmy nadzieję, że się mylisz. Ale gdyby to prawdą było, co zamierzasz uczynić?

Denvers jeszcze o tem nie myślał.

— To się potem pokaże! — rzekł po chwili, wzruszając ramionami — Zapalmy teraz światło, byśmy drogę znaleźli.

Angela powstrzymała go.

— Nie, nie trzeba, księżyc świeci jasno. Sir Clemens ma oczy sokole, mógłby nas zobaczyć. Ach! Cóż to było?

Wyraźnie słyszała jakieś przygłuszone uderzenie, któremu towarzyszył lekki okrzyk bólu, potem znów cisza zapanowała. Angela pociągnęła Denversa za kotarę i wystraszona szepnęła:

— To był sir Clemens. Albo mnie widział, albo szukał czegoś jeszcze. Prawdopodobnie uderzył się o coś wśród ciemności.

Podczas gdy Angela domawiała ostatnie słowa, Denvers wychylił się z poza portyery i przypadł do cienia, który poruszał się to w tę, to w owa stronę. W tem padło nań światło księżyca. Angela poznała armeńczyka.

— Moja piękna pani jest obserwowaną — rzekł cicho — dlatego chciałem panią przestrzedz. Sir Clemens poszedł na górę, aby włożyć pantofle. Po drodze uderzył się o stół marmurowy.

— Idź za nim i zamknij go! — namawiał Denvers — Wynagrodzę cię za to. Możesz przecież powiedzieć, że chcesz mu pomódz.

— Tak, tak, zrób to, Hasydzie! — przymilała się Angela — Wyświadczysz mi tem wielką przysługę.

Armeńczyk wysunął się jak kot, po cichu. Dla Angeli gotów byłby w ogień skoczyć. Za chwilę stał już poza plecyma Frobishera, który szukał pantofli.

— Czy mogę panu być pomocnym? — zapytał Hasid uniżenie.

— Tak, poszukaj mi pantofli! — odparł mrukliwie sir Clemens — Nigdy ich niema na miejscu.

Hasid wnet je znalazł i równocześnie niepostrzeżenie zamknął drzwi na klucz, chowając go do kieszeni. Wychodząc z pokoju zamknął i drugie drzwi.

Frobischer, który rzeczywiście chciał śledzić Angelę, poczekał chwilę, poczem ostrożnie nacisnął klamkę, drzwi nie otworzyły się jednak. Szarpnął, ale i to nie pomogło. Sądził więc, że zamek się zepsuł, ale ani przez myśl mu nie przeszło to, że Hasid mógł był to zrobić. Poddał się więc z musu tej niewoli, pocieszając się myślą, że znajdzie się jeszcze niejednokrotnie sposobność przyłapania Angeli na schadzkach.

Tymczasem Angela i Denvers udali się do oranżeryi. Skoro tylko weszli, uniósł się w górę olbrzymi kłąb pary, wyrzucony z automatycznej pompy i okrył całe sklepienie. Angela przystanęła na progu, podczas gdy Denvers szybko po drabince wspiął się pod sklepienie, gdzie zniknął wśród zwisających łodyg i kwiatów.

I znowu słup pary uniósł się w górę, a w tejże chwili rozległ się stłumiony okrzyk bólu. Angela podbiegła ku drabinie, z której teraz schodził już Denvers, walcząc widocznie z jakiemiś niewidzialnemi przeszkodami. Twarz jego była blada i kroplami potu okryta, prawe ramię zwisało bezwładnie.

— Co się stało? — zawołała Angela — Czy skaleczyłeś się w rękę?

Ciężko dysząc, ledwie trzymając się na nogach, stał Denvers przed Angelą. Para rozpłynęła się tymczasem i popod dachem cieplarni zabłysło całe bogactwo kwiatów, pokrywających sztywne łodygi. U nóg Denversa leżała gałązka orchidei. Denvers podniósł ją i schował do kieszeni.

— Ot, patrzaj, Angelo! — odezwał się w końcu schrypniętym głosem — To chyba czary jakieś. Ktoś ścisnął mi ramię, siła jakaś niewidzialna potęgowała ucisk. Ostatecznego wysiłku musiałem użyć, aby się wyrwać, ale zobacz, co mi się stało.

Obręcz krwawa opasywała rękę Denversa w przegubie, ciało przecięte było aż do kości. Wydawało się nieprawdopodobnem by ludzkie dłonie mogły mieć taką siłę. Nikogo też tu nie było, z kopuły szklanej zwisało jeno całe bogactwo przecudnych, wielobarwnych kwiatów orchidei.

VI.

Paweł Lopez, narzędzie Frobishera, o ile go ten dobrze zapłaci, uważany był przez wszystkich, którzy go znali tylko pobieżnie, za człowieka prostego, skromnego, tem więcej, że ubierał się skromnie i nie występował nigdy szumnie. Ktoby go jednak zobaczył w domu śród czterech ścian, zmieniłby sąd o nim.

Lopez posiadał dobry gust; o tem świadczyło umeblowanie domu, stół nakryty wyszukanemi potrawami, kiedy jadał w domu. Wtedy przy stole siadywała młoda dziewczyna, smukła blondyna, o twarzy ładnej, pełnej wyrazu, o oczach kobiety, a uśmiechu dziecka.

Lopez nazywał ją po prostu Cara i twierdził, że jest ona córką zmarłego przyjaciela. Faktem jest, że dbał o nią z troskliwością iście ojcowską i nawet w chwilach nędzy, które u niego nie były zrów rzadkie, sobie wszystkiego odmawiał, byle rozpieszczonej małej na niczem nie zbywało. Była ona jedyną słabą struną w jego sercu. Jej wolno było wszystko zrobić, wszystko powiedzieć; teraz miał też minę skruszoną, kiedy w tonie wymówek mówiła doń:

— Z pewnością znowu grałeś. Dlaczego? Gdybyś nie znał kart, byłbyś dziś bogatym człowiekiem. A przegrywasz zawsze, bo jesteś zanadto rozgorączkowany i grasz w podnieceniu. To obrzydliwe z twej strony, bo przyrzekłeś mi przecież, że mnie w tym roku zawieziesz do kąpiel morskich.

Lopez potajemnie westchnął, zapewniał ją jednak, że będzie miała potrzebne na ten cel pieniądze.

— Mówisz tak dlatego, żebym się uspokoiła! — przerwała mu niecierpliwie — Kasa nasza jest pusta, dostawcy żądają pieniędzy. Jeśli miałabym się tak męczyć, to wolę sobie pójść. Zresztą, czy zamówiłeś na jutrzejszy wieczór bilety do opery?

Lopez przytaknął, tego rodzaju przyrzeczeń dotrzymywał zawsze. Ukradkiem spojrzał na zegarek.

— Czy jeszcze wychodzisz? — zapytała Cara, spostrzegłszy to — Więc znów będę się nudziła cały wieczór. Dość już mam tego.

— Nie powinnabyś się naprawdę skarżyć! — przerwał Lopez — Niewiele dziewcząt ma tak dobrze, jak ty. Bądź rozsądna, moje dziecko. Interesa przedewszystkiem. O dziesiątej będę z powrotem w domu, a potem pójdziemy na kolacyę do Belgrave. Czy zgoda?

Uśmiech zadwolenia rozjaśnił twarzyczkę dziewczyny, natychmiast rozpogodzonej. Rzuciła się opiekunowi na szyję, pocałowała go i podając mu w przemiły sposób papierosa, nagliła go do odejścia.

— Spiesz się teraz — mówiła — ażebym nie czekała zbyt długo. Nie potrzebujesz zresztą przychodzić do domu. Czekaj na mnie w korytarzu restauracyi i zarezerwuj dobry stolik, żebym mogła widzieć całą salę.

Lopez nie pozwalał nikomu rozkazywać sobie, jednej Carze wolno było używać tego tonu.

Wyszedłszy na ulicę, przywołał dorożkę i niedługo stanął przed wspaniałym gmachem, gdzie w sieniach służący odebrał od niego laskę i kapelusz. Po schodach marmurowych wszedł na piętro, otworzył drzwi do jednego z pokoi i znalazł się we wspaniałym salonie, oświetleniu różowem. Koło stołu z ruletą siedziało kilku namiętnie grających panów. Spojrzenia ich znamionowały, że grali o wysokie stawki. Lopez znał niemal wszystkich. Byli to ludzie należący do najlepszych sfer towarzyskich, którzy zabawiali się w grę hazardową przez całe godziny.

Paląc papierosa przypatrywał się Hiszpan grze, poczem spostrzegłszy jednego z panów, ubranego wprawdzie po europejsku, ale w istocie orientalczyka, położył mu rękę na ramieniu, pytając:

— Czy grał pan już dzisiaj?

Znajomy przytaknął.

— Niestety, nie miałem szczęścia. Będę musiał prawdopodobnie pomódz sobie kosztownościami mego pana.

— Na nieszczęście on sam musiał się chwycić tego środka; musi pan wymyślić co innego, panie Hamidzie.

Azyata skrzywił się. Był on członkiem dworu księcia, ale w głębi duszy był jego śmiertelnym wrogiem, chociaż tym samym podlegał błędom i grzechom, co jego władca. Z Lopezem był od wielu lat w przyjaźni. Niejednokrotnie obaj wspólnie maczali ręce w podejrzanych interesach.

— Czy i książę jest w kłopotach pieniężnych? — zapytał cicho Lopez.

— Jeszcze jak! — odparł Hamid. — Ale za pomocą koncesyi kolejowych może sprawy swe łatwo uregulować. To zresztą dobra głowa, może się nawet opłaci pójść mu na rękę.

— Na pańskiem miejscu uczyniłbym był to już dawno! — wtrącił Lopez. — Pan jesteś jednak wrogo dlań usposobionym i popiera pan partyę postępową w Kurdystanie. Człowiek, którego pan chce zrobić księciem Kurdystanu, jest zwolennikiem Rosyi, co zapewne rządowi angielskiemu podobać się nie będzie. Otóż, obecny książę jest nie głupi, postaraj się pan zyskać nad nim przewagę.

— Może usłuchałbym rady pańskiej — odparł w zamyśleniu Hamid — gdybym nie tkwił już tak bardzo w partyi przeciwnej Mimo to może mógłbym użyć przemocy nad nim. Jestem tu, w Anglii, z pewnych powodów. Niebieski klejnot...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Amerykanie na froncie zachodnim.

Wojna obecna, która zgotowała tyle niespodzianek i przekreśliła wszystkie rachuby, oparte, jak się zdawało, na najpewniejszych przesłankach, tak samo i co do udziału Ameryki w wojnie światowej przyniosła nieoczekiwane rezultaty. Prasa niemiecka, a nawet oficyalne koła niemieckie traktowały wyprawę Jankesów do Europy jako zwykły humbug amerykański. Lekceważono Stany Zjednoczone jako czynnik, który mógłby odegrać poważniejszą rolę w zapasach na kontynencie europejskim. A tymczasem rzeczywistość rozwiała te złudzenia w sposób dla Niemiec wprost tragiczny. Udział armii amerykańskiej w walkach na zachodnim froncie stał się punktem zwrotnym wojny i przechylił szalę zwycięstwa na stronę koalicyi. Amerykanie stali się właśnie tym „ostatnim milionem“, rzuconym na pola bitew, o którym jeszcze na początku wojny mówił jeden z angielskich mężów stanu, że zadecyduje o losach wojny.



Amerykanie na froncie zachodnim: W obozie jeńców amerykańskich (Fot. Bufa)

Manifestacye w kraju.

Na wiadomość o proklamacyi niepodległej Polski przez Radę regencyjną zapanowała powszechna radość w całej Polsce. We wszystkich miastach odbyły się uroczyste manifestacye, w których brały udział tysiące. Radość, przepełniająca serca wszystkich, znajdywała wyraz w gorących przemówieniach i uchwałach wszystkich rad miejskich i stowarzyszeń.



Amerykanie na froncie zachodnim: Grupa jeńców amerykańskich (Fot Bufa)

W Krakowie manifestacya przybrała charakter święta narodowego. Już od wczesnego ranka tysiączne fale ludzi płynęły ku Rynkowi, gdzie w kościele Maryackim z uderzeniem godziny 10 rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez księdza biskupa Nowaka w otoczeniu licznego duchowieństwa. Olbrzymią świątynię zapełniło tłumnie obywatelstwo krakowskie ze wszystkich sfer, młodzież szkolna żeńska i męska, przedstawiciele korporacyi i stowarzyszeń oświatowych i kulturalnych. W prezbiteryum zajęli miejsca: członkowie Rady miejskiej z prezydentem miasta na czele, członkowie kapituły krakowskiej, rektor dr. Zórawski z gronem profesorów uniwersytetu, delegacya Legionistów oraz przedstawiciele władz i urzędów.

Podczas nabożeństwa publiczność śpiewała pieśni kościelne, po nabożeństwie zaś wzniósł się z tysiąca piersi hymn narodowy „Boże coś Polskę“.

Po wyjściu z kościoła morze głów ludzkich zalało po obu stronach Sukiennice, olbrzymią przestrzeń prastarego krakowskiego Rynku, gdzie pod pomnikiem Mickiewicza orkiestra kolejarzy odegrała szereg pieśni narodowych. Do zebranych tłumów przemówił płomiennie sekretarz T. S. L. red p. St. Rymar.

O godzinie 12 w południe zebrali się w sali Rady miejskiej wszyscy członkowie Rady w uroczystych strojach. Jawili się nadto zaproszeni przedstawiciele, obywatele wszystkich warstw i zawodów. Przybyli książę biskup A. Sapieha, ksiądz biskup Nowak, członkowie kapituły katedralnej, rektor uniwersytetu ks. Sieniatycki z senatem akademickim, prezes Akademii umiejętności dr. Morawski, kierownicy krakowskich władz i instytucyi publicznych, dyrektorowie szkół średnich, delegacya Legionistów i reprezentanci miejscowych stronnictw.

W uroczystym nastroju prezydent miasta J. K. Federowicz wygłosił przemówienie, w którem wyraził hołd dla Rady regencyjnej w Warszawie za dopełnienie aktu, świadczącego o rozumie politycznym i energii.

Równocześnie na placu Franciszkańskim przed Magistratem zebrał się olbrzymi kilkotysięczny tłum publiczności, do której z balkonu przemówił najpierw prezydent Federowicz w otoczeniu członków Rady miasta, senatu i kleru, odczytując uchwaloną deklaracyę, wzywając zgromadzonych do zgody i jedności. Następnie przemawiał jeszcze poseł Wł. Tetmajer i Daszyński.

Wieczorem w obu teatrach odbyły się uroczyste przedstawienia. Miasto było bogato udekorowane sztandarami narodowymi.




Amerykanie na froncie zachodnim: Poczta z ojczyzny w obozie jeńców amerykańskich. (Fot Bufa

Kronika tygodniowa.

To, o czem w statnich kronikach wspomniałem, jako o rzeczy pożądanej, zaczyna się powoli realizować. Koniec wojny i zawarcie pokojn zbliżają się z dnia na dzień.

Piąty październik przyniósł nam wiadomość o nocie pokojowej hr. Buriana w imieniu Austryi, Niemiec i Turcyi wystosowanej do prezydenta Wilsona. proponujący zawieszenie broni i wdrożenie rokowań pokojowych na warunkach, podanych swojego czasu przez koalicyę, a przyjmowanych dotąd przez rządy państw centralnych z uśmiechem politowania.

Jasny w tem dowód, że źle się dziać zaczyna w... państwie duńskiem i że politycy centralni czują, iż się im grunt, na którym się dotąd czuli tak pewni siebie, usuwa powoli z pod nóg.

Nota odeszła, odpowiedzi dotąd nie widać, ale nic w tem chyba dziwnego. Kto ma w swem ręku tyle atutów, co obecnie koalicya, ten tak łatwo nie odstąpi od gry, a jeśli się już na to zgodzi, postawi takie warunki, jakie mu się będą podobały. A druga strona, przegrywająca, skoro się już zdecydowała na ten krok ostateczny, dla niej ani przyjemny, ani zaszczytny, będzie je musiała przyjąć w całości, jeśli jej propozycya była naprawdę szczera i podyktowana koniecznością. Jak dziś rzeczy stoją, wątpić w to nie można i, jeśli się nie jest zaślepionym, musi się przyznać że mocarstwa, centralne znalazły się w samej rzeczy w położeniu bez wyjścia i inaczej postąpić nie mogły, jeśli mają szczerą i nieprzymuszoną ochotę wycofania się z tej imprezy, która dla nich przybrała obecnie obrót zupełnie niepożądany.

Co odpowie Wilson w imieniu swojem i swych przzjaciół politycznych, oto pytanie, które zajmuje dziś cały świat cywilizowany. Odpowiedź na to łatwa. Koalicya, nauczona doświadczeniem, postawi warunki tego rodzaju, by hydrze raz łeb uciąć i nie dopuścić do tego, aby czcze gadaniny i wymiana nieszczerych not dyplomatycznych, zamiast raz doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia, opóźniały je tylko i dały sposobność przeciwnikowi do zebrania nowych sił i podjęcia dalszych prób. Warunki owe będą więc ciężkie, w to nikt nie może nawet i wątpić, choć nie jest politykiem, tembardziej zaś ci, którzy się polityką zajmuję, muszą i są zapewne na to przygotowani.

Powiada stare polskie przysłowie: „Kto wiatr sieje, burzę zbiera". Tak było zawsze, tak też będzie i teraz i ten, kto rozpętał całą tę obecną zawieruchę, będzie musiał wychylić do dna kielich goryczy, jaki mu losy przygotowały i jeszcze nadrabiać przytem miną, że mu smakuje.

Wiadomość o wysłaniu noty pokojowej przyjęto wszędzie z widocznem zadowoleniem i nadzieją, że bodaj teraz można się spodziewać zakończenia tej tragedyi dziejowej, choć nie brakło i takich, którym ono bynajmniej nie poszło w smak. Cały szereg dostawców i handlarzy wojennych, paskarzy, podbijaczy cen i tym podobnych hyen i szakali przeczuł z boleścią, że skończą się złote dla nich czasy.

I jedni i drudzy ginęli też z ciekawości, jaki będzie wynik toge kroku dyplomatycznego i tego samego jeszcze dnia zasypywali redakcye pism zapytaniami, czy nadeszła już odpowiedź Wilsona i w jakim tonie.

Ale pan Wilson powiedział sobie, że skoro tak długo czekał na ten krok ze strony mocarstw centralnych, teraz one muszą poczekać na odpowiedź i bynajmniej nie spieszył się z odpowiedzią, wiedząc dobrze o tem, że ona tak czy owak nadejdzie na czas. Zresztą mając wspólników, trzeba się przedtem z nimi naradzić, skoro się ma dać odpowiedź w swem i ich imieniu.

To czekanie daje pole domysłom, jak będzie brzmiała odpowiedź ententy. Już teraz przewidują nasi politycy, że Wilson zażąda przedewszystkiem opróżnienia zajętych terytoryów, wydania broni i floty, oddania pod zarząd kolei, nie kładąc naturalnie tamy dobroczynności co do dalszych warunków.

W ślad za tą notą zmieniły się nagle i oryentacye naszych wielkich polityków, a niektóre wstępne artykuły polityczne utrzymywane są w zupełnie innym tonie, niż to było, dajmy na to, nawet przed rokiem, choć osoba autora bynajmniej się nie zmieniła. Ale i w tem nic dziwnego. Wiadomo, że czworonogi i ptaki zmieniają dwa razy w roku swą sierść i upierzenie, na wiosnę i pod zimę, nie można więc mężowi stanu brać za złe, jeśli to samo zrobi bodaj raz w roku ze swemi zasadami. Taka zmiana jest i bardzo łatwa i zupełnie bezbolesna. Nadto trzeba pamiętać, że zasady to coś bardzo subtelnego, nie trzeba się też dziwić chyba, że podlegają nawet najlżejszym podmuchom wiatru. Kierunek zaś jego, mam tu naturalnie na myśli wiatry polityczne, właśnie się zmienił i to bardzo gruntownie i radykalnie.

Ciekawość ogółu, a z nim razem i kronikarza, zaspokojoną została stosunkowo wcześniej, niż się nawet spodziewano. W dniu 10 października przyniosły telegramy pism wiadomość o nadejsciu tymczasowej odpowiedzi wujaszka Wilsona na propozycye hr. Buriana. Według tenoru urzędowych komunikatów, zgadza się prezydent imieniem swojem i koalicyi, w której zespole gra pierwsze skrzypce, na rozpoczęcie zawieszenia broni, celem możności wdrożenia pokojowych pertraktacyi, żądając na razie opróżnienia zajętych terytoryów, co już nawet częściowo wcześniej nastąpiło. O innych warunkach nic nam dotąd nie wiadomo.

Sprawa więc, jak z tego widać, jest na najlepszej drodze i trzeba tylko dobrej woli jednej i drugiej strony, aby rzecz całą doprowadzić pomyślnie do końca, a ludom całego świata dać tak upragniony pokój.

Prezydent Wilson, jakby przeczuwając, że kronikarz zabiera się do pracy przyszłotygodniowej, nie kazał zbyt długo czekać na odpowiedź. Za tę uprzejmość podziękował mu też kronikarz w odręcznem piśmie, wysłanem tego samego dnia do Waszyngtonu.

Pierwszem bezpośredniem następstwem pokojowej noty hr. Buriana był gwałtowny spadek rozmaitych walorów na giełdzie, skutkiem czego wielu spekulantów wojennych potraciło majątki. Łatwo przyszły, łatwo i lekko też poszły. Bogini szczęścia, stale się dotąd do szczęśliwców uśmiechająca, tym razem odwróciła się w ich stronę smutną twarzą.

W Krakowie wiadomość o wysłaniu noty pokojowej przyjęto na ogół bardzo spokojnie. Dzięki długiemu trwaniu wojny i różnym zawodom, jakie nas w tym czasie spotkały, dziwnie zobojętnieliśmy na wszystko, co się koło nas dzieje.

We Lwowie natomiast, jak mnie zapewniał pewien jegomość, który w tym dniu bawił właśnie nad Pełtwią, dzień 5. października obchodzono bardzo hucznie, a notę ostrzeliwano z butelek szampańskich.

I nic w tem dziwnego.

Lwów, znajdując się w bezpośrednim sąsiedztwie Ukrainy, która stała się prawdziwą ziemią obiecaną dla rozmaitego rodzaju spekulantów i aferzystów, jest też siedzibą chwilową osobników, mających i czas i pieniądze (naturalnie i ochotę!..) do zabawy.

Pito więc na umór. Jedni pili z radości, że wojna się kończy, inni, by zagłuszyć boleść z tego powodu i utopić robaka, toczącego ich serce.

Choć, zaznaczyć należy, ogół wojennych spekulantów całą tę sprawę przyjmuje z pewnem niedowierzaniem, czego dowodem, iż poukrywane na lepsze czasy towary nie ukazały się jeszcze w takiej ilości, jak się tego można było spodziewać. Być może, że stanie się to z chwilą rozpoczęcia rokowań pokojowych, które nie powinny trwać zbyt długo, chyba że delegaci będą pobierać dzienne dyety, wobec czego powolność obrad stanie się łatwo zrozumiałą.

Z powodu zajęć redakcyjnych, kronikarz na kongres pokojowy stanowczo się nie wybiera, ma natomiast zamiar wysłać tam specyalnego sprawozdawcę.

Sytuacya na ogół nieco się poprawiła, czego dowodem podniesienie się wartości naszych pieniędzy w krajach neutralnych, gdzie zwłaszcza za nasze papiery płacono wprost śmieszne ceny.

Coś podobnego widziałem na swoje własne oczy w Krakowie. Za pewną robotę żądał majster pięćdziesiąt koron wynagrodzenia. Pracodawcy cena wydawała się zbyt wygórowaną, ofiarowywał więc mniej. Majster nie chciał ustąpić, ale wygłosił referat o obecnej wartości monety i zakończył go słowami:

Na złoto urządza się też do dnia dzisiejszego formalne polowania, płacąc za nie wprost bajońskie sumy.

To samo działo i dzieje się ze srebrem, a nawet niklem i żelazem. Ludzi ogarnęła prawdziwa gorączka gromadzenia brzęczącej monety w obawie, że papierowa straci swą wartość.

Ale to się może już raz przecież poprawi. Z drugiej zaś strony przyznać trzeba, że papierów nie brak, owszem, może nawet i zbyt wiele jest ich w obiegu, co także musiało się przyczynić do deprecyacyi austryackiej waluty.

Kupcy wszelkiej kategoryi narzekają na zupełny zastój w interesach. Towarów, jak sami przyznają, mają dość, popytu na nie brak prawie zupełny.

Stało się to z tego powodu, iż kupujący są zdania, że ceny muszą spaść i to już w najbliższym czasie, sprzedający natomiast utrzymują, iż pójdą, w miarę zbliżania się pokoju, jeszcze bardziej w górę, i dlatego chwycili się polityki wyczekiwania.

Najdonioślejszem, a nas najbardziej obchodzącem następstwem noty pokojowej hr. Buriana było ogłoszenie niepodległej i zjednoczonej Polski, której odtąd nie mają już dzielić żadne słupy graniczne.

Dowiedzieliśmy się o proklamowaniu w dniu 8. października, a wówczas serce każdego Polaka zabiło żywiej i swobodniej. Koniec naszych cierpień już bliski, zaświtała nam jutrzenka swobody, na której pojawienie się czekali nadarmo nasi dziadowie i ojcowie.

Okupiliśmy ją, co prawda, drogo, ale dziś tego nie żałujemy, choć to, co dziś staje się naszym udziałem, oddawna się nam należało. Opatrzność doświadczała nas widocznie, czy dorośliśmy do rozpoczęcia napowrót samodzielnego bytu.

Proklamacya była dziełem warszawskiej Rady regencyjnej.

Manifestem z dnia 5. listopada 1916 roku uznały państwa centralne konieczność utworzenia, jak zapewniano, samodzielnej Polski, ale, jak się słusznie ktoś wyraził, był to tylko weksel *in blanco*, którego zrealizowanie zależało wyłącznie od woli wystawców.

A tego właśnie zrealizowania nie mogliśmy się doczekać, choć czekaliśmy na nie cierpliwie prawie dwa lata. Zdawało się, że nie wyjdzie ono nigdy ze sfery obietnic.

Między czternastu warunkami Wilsona, na podstawie których mogłaby koalicya z mocarstwami centralnemi pertraktować o pokoju, na trzynastem miejscu znalazła się i sprawa niepodległej Polski. Gdy więc obecnie hr. Burian w swej nocie wyraźnie zaznaczył, że warunki owe konweniują Austryi i Niemcom, skorzystała ze sposobności Rada regencyjna i proklamowała niezależną Polskę, wychodząc ze słusznego zapatrywania, iż nic temu nie stoi już na przeszkodzie, skoro obie walczące strony zgadzają się na to.

Stajemy więc u wrót nowego życia, ale jeszcze nie wiemy, jak się ono ułoży, skoro bowiem Polska ma być zjednoczoną, muszą do niej należeć wszystkie te ziemie, które ongi w jej skład wchodziły, więc *de facto* musi sięgać „od morza do morza".

Ale z tem właśnie trudno się będzie pogodzić niektórym sąsiadom, którzy prowincye dawniej rdzennie polskie zaczęli już uważać za swą niepodzielną własność i zaprowadzili tam już porządek na swój sposób, inne zaś ziemie ofiarowali łaskawie nawet tym, którzy o to nie prosili. Rządzono się na naszych śmieciach przez długie lata, jak u siebie w domu, więc też z tem większą przykrością trzeba się będzie z tem pożegnać i to było właściwym powodem, że piękny akt życzliwości mocarstw centralnych dla Polski, to jest manifest z dnia 5. listopada 1916 r. tak długi czas istniał tylko na papierze.

Był to wielki błąd polityczny, który teraz wytyka rządowi austryackiemu nawet tak wrogo zawsze względem Polaków usposobione pismo, jak *Morgenzeitung*, powiadając wyraźnie, że rząd wiedeński, gdyby był wobec Polaków postępował inaczej, niż to czynił, znalazłby się był dziś w zupełnie innych warunkach, mogąc liczyć na ich pomoc i poparcie, którego mu nigdy w ciężkich chwilach nie odmawiali. Ale dziś trudno chyba liczyć na to, gdy się tyle razy zawiodło ich zaufanie.

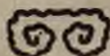
Otwierają się więc oczy, ale czy nie zbyt późno?

Gdyby w listopadzie roku 1916 nie było się skończyło tylko na obietnicach utworzenia czegoś, co miało być państwem polskiem, a w samej rzeczy było tylko jakimś politycznym dziwolągiem, nie mającym ani granic, ani swojej woli, dziś zwłaszcza Wiedeń mógł liczyć na naszą wdzięczność, z której musi zrezygnować, to bowiem, co staje się naszym udziałem, dostajemy bynajmniej nie z jego łaski, a jeśli godzi się na to, to jedynie dlatego, że okoliczności do tego go zmuszają.

Niejedno przyjdzie nam jeszcze przeżyć i przecierpieć, ale zniesiemy to spokojnie, wiedząc, że jesteśmy już blisko ziszczenia się naszych najserdeczniejszych nadziei.

I proklamowanie niepodległej Ojczyzny przyjął Kraków jakoś obojętnie, jakby nie odczuwając, że to jeden z najważniejszych kroków na drodze do nowego życia i narodowego odrodzenia. Czyżby długoletnia niewola zabiła już w nas wszelkie szlachetniejsze instynkty i porywy?... Jeśli tak miałoby być, byłoby to nad wyraz smutne, ale miejmy nadzieję, że tak nie jest.

Nie zginęła, bo zginąć nie mogła i dziś budzi się do nowego życia, a z Nią razem i Jej dzieci, pogrążone dotąd w letargu, z którego zbudzi ich głos trąby Anioła pokoju, zwiastującego im odrodzenie!...





Usuwanie pospieszne parku artyleryi za frontem niemieckim



Od morza do Verdun: Zalane wodą obronne pozycye niemieckie (Fot. Bula)

Z tygodnia.

Pierwsze kroki pokojowe.

Ostatnie dni przyniosły szereg ważnych wydarzeń. Nareszcie zabrzmiał głos pokoju i to w formie, która zapowiada, że może wreszcie uda się zakończyć tyloletni rozlew krwi.

Rząd niemiecki wystosował do prez. Wilsona 5 b. m. następującą notę:

„Rząd niemiecki uprasza prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej o ujęcie w swoje ręce sprawy przywrócenia pokoju, oraz o zawiadomienie o tej prośbie wszystkich państw wojujących i zaproszenie ich do wysłania pełnomocników celem rozpoczęcia rokowań. Rząd niemiecki przyjmuje program, nakreślony przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w jego orędziu do kongresu z dnia 8 stycznia 1918 roku i jego późniejsze oświadczenia mianowicie mowę z dnia 27 września, jako podstawę do rokowań pokojowych.

Celem uniknięcia dalszego rozlewu krwi, rząd niemiecki uprasza o spowodowanie natychmiastowego zawarcia powszechnego zawieszenia broni na lądzie, na morzu i w powietrzu.

Ks. Maksymilian badeński, kanclerz Rzeszy".

Odpowiedź amerykańska nadeszła w kilka dni i brzmiała bardzo jasno. Imieniem prezydenta Wilsona sekretarz stanu Lansing wystosował następujące pismo do przedstawiciela Szwecyi, który pośredniczył w doręczeniu noty niemieckiej:

Departament stanu dnia 8 października 1918.

Mój Panie!

Mam zaszczyt potwierdzić w imieniu prezydenta odbiór noty Pana z dnia 6 października z uwiadomieniem rządu niemieckiego do prezydenta i od prezydenta otrzymałem polecenie uproszenia Pana, aby Pan podał do wiadomości kanclerza państwa, co następuje:

Prezydent Stanów Zjednoczonych zanim odpowie na prośbę rządu cesarskiego niemieckiego i daną będzie odpowiedź tak szczera i otwarta, jak tego wymagają ważne interesy, o których w niej mowa — uważa za rzecz potrzebną upewnić się o dokładnem znaczeniu noty kanclerza państwa.

Czy kanclerz państwa jest zdania, że rząd cesarski niemiecki przyjmuje warunki, ułożone przez prezydenta w jego orędziu do kongresu Stanów Zjednoczonych z dnia 8 stycznia i w orędziach następnych i czy jego celem przy wdaniu się w dyskusyę byłoby tylko to, aby się porozumieć co do praktycznych szczegółów ich zastosowania?

Prezydent Stanów Zjednoczonych uważa za swój obowiązek oświadczyć co do propozycyi o zawieszeniu broni, że nie czułby się w prawie zaproponowania zawieszenia broni rządom, z którymi rząd Stanów Zjednoczonych związany jest sojuszem przeciwko mocarstwom centralnym, dopóki wojska tych mocarstw stoją na ich ziemi. Dobra wiara przy wszelkiej dyskusyi (the good faith of any discussion) naturalnie (manifestly) zawisłaby od zgody mocarstw centralnych na natychmiastowe wycofanie się wszędzie z obszaru okupowanego.

Prezydent sądzi, że jest także uprawniony do zapytania, czy kanclerz przemawia tylko imieniem tych władz (konstituted autorities of the empire), które dotąd prowadziły wojnę. Uważa on odpowiedź na to pytanie za nadzwyczajnie ważne z każdego punktu widzenia.

Przyjm Pan ponowne zapewnienie mego wysokiego poważania.

Robert Lansing.

Sformułowane w ten sposób zapytania postawiły Niemcy wobec konieczności dania zupełnie jasnej odpowiedzi. Narady trwały w Berlinie kilka dni. Wreszcie 12 b. m. udzielił nowy sekretarz stanu, dr. Solf, następujących wyjaśnień na zapytanie prezydenta Wilsona:

„Rząd niemiecki przyjął zasady, które prezydent Wilson wypowiedział w swojem przemówieniu z dnia 8 stycznia i w swoich późniejszych przemówieniach jako podstawę trwałego pokoju, opartego na prawie. Celem rokowań, które miałyby się rozpocząć, byłoby wyłącznie porozumieć się o praktycznych szczegółach zastosowania.

Rząd niemiecki przyjmuje także, że rządy sprzymierzone ze Stanami Zjednoczonymi stoją na stanowisku manifestacyi prezydenta Wilsona.

Rząd niemiecki w porozumieniu z rządem austro-węgierskim oświadcza gotowość zadośćuczynienia propozycyom prezydenta w sprawie opróżnienia, celem osiągnięcia zawieszenia broni. Pozostawia prezydentowi spowodowanie zwołania mieszanej komisyi, której zadaniem byłoby ułożyć umowy, konieczne dla opróżnienia. Obecny rząd niemiecki, który ponosi odpowiedzialność za krok pokojowy, został utworzony w drodze rokowań w zgodzie z wielką większością parlamentu. We wszystkich swoich czynach oparty o wolę tej większości, przemawia kanclerz państwa imieniem rządu niemieckiego i narodu niemieckiego".

W ten sposób została zapoczątkowana prawdziwie poważna już dyskusya pokojowa. Oświadczenie Niemiec musi wywołać jakiś stanowczy krok ze strony koalicyi. Oby to jak najprędzej nastąpiło.

Posłowie polscy u cesarza Karola.

Austrya stoi obecnie w przededniu ważnych przemian wewnętrznych. Monarchia ma zamienić się w państwo federacyjne, w składzie którego każdy naród ją zamieszkujący otrzymać ma własny rząd i własne granice. Przygotowaniem do tego doniosłego kroku były posłuchania posłów parlamentarnych u cesarza Karola, jakie się przed kilku dniami w Badenie odbyły. Jako reprezentanci Koła polskiego zjawili się u cesarza posłowie: prezes Koła Tertil, hr. Baworowski i pos. dr. Loewenstein.

Audyencya dr. Tertila trwała 20 minut. Cesarz prosił dr. Tertila o pewne wyjaśnienia w sprawach wchodzących w zakres polityki zagranicznej, w sprawie ogólno-polskiej i w sprawie wewnętrznej polityki Koła polskiego.

Co do sprawy ogólno polskiej powołał się dr. Tertil na deklaracyę stronnictw polskich, złożoną dnia 2 b. m. w parlamencie, zawierającą program polityczny Koła polskiego i innych stronnictw polskich, nie należących do Koła, dalej na fakt, że mocarstwa centralne przyjęły zasady pokojowe Wilsona, a w szczególności także punkt, dotyczący przyszłości narodu polskiego, wkońcu na oświadczenie prezydenta ministrów dr. Hussarka w parlamencie, dotyczące prawa samostanowienia narodów. Wobec tych faktów tendencye narodowe Koła polskiego są jasne, a w sprawach narodowych polskich decyduje dziś cały naród polski, a nie przedstawiciele narodu tego w jednej dzielnicy polskiej.

Na pytanie, jakie stanowisko zająć zamierza Koło polskie w czasie przejściowym to jest w czasie likwidacyi wojny światowej odpowiedział dr. Tertil, że w tym względzie wystarczy wskazać na fakt, że Polacy w Austryi liczą się z tem, iż załatwić muszą jeszcze cały szereg interesów w państwie.

Koło polskie nie zajmuje wrogiego stanowiska wobec dr. Hussarka, a do ministrów polskich, zasiadających w jego gabinecie, ma pełne zaufanie.

Wiceprezes hr. Baworowski wspomniał cesarzowi na początku rozmowy, że z Warszawy nadeszła wiadomość o utworzeniu gabinetu z ks. Januszem Radziwiłłem na czele, a składającego się z przedstawicieli wszystkich trzech dzielnic. Fakt ten — zauważył hr. Baworowski — określa najlepiej stanowisko, jakie cały naród polski zajmuje dziś w sprawie polskiej, dziś — podniósł hr. Baworowski z naciskiem — gdy mocarstwa centralne przyjęły XIII punkt Wilsona wypowiada każdy Polak jawnie i otwarcie to, o czem zawsze marzył, o co się zawsze modlił, co z mlekiem wyssał z piersi matki, wypowiada jawnie i otwarcie, że przyszłość narodu polskiego widzi w niepodległej i zjednoczonej ojczyźnie. Jak długo jednak jesteśmy tutaj, nie odmówimy swej współpracy w poczuciu naszych interesów narodowych, władze austryackie jednak powinny umożliwić nam to współdziałanie, powinny usunąć i unikać wszystkiego, co naród polski drażni; w tej mierze nie można pominąć stosunków w okupacyi austryackiej, które wymagają jak najszybszej zmiany.













